

NASZ PRZYJACIEL

Dodatek do „Głosu Wąbrzeskiego“

Nr. 42.

Wąbrzeźno 16 października 1926 r.

Rok 3.

Ewangelja

św. Mateusza rozdz. 18, wiersz 23—35.

Onego czasu powiedział Jezus uczniom swoim tę powieść: Podobne jest Królestwo niebieskie człowiekowi królowi, który chciał kłaść liczbę z sługami swoimi. A gdy począł liczbę kłaść, przywieziono mu jednego, co był winien dziesięć tysięcy talentów. A gdy on nie miał skąd oddać, kazał go pan jego zaprzedać i żonę jego i dzieci, i wszystko co miał i zapłacić. A upadłszy sługa on, prosił go mówiąc: Miej cierpliwość nade mną, a wszystko tobie oddam. A Pan zlitowawszy się nad onym sługą, wypuścił go i dług mu opuścił. Lecz sługa on wyzedłszy, znalazł jednego z tych, co z nim służyli, który mu był winien sto groszy; i pojmwawszy go, dusił go mówiąc: Oddaj coś winien. A upadłszy on towarzysz, prosił go mówiąc: Miej cierpliwość nade mną, a oddam ci wszystko; a on niechciał, ale szedłszy, wrzucił go do więzienia, ażeby oddał dług. A ujrzawszy towarzysze jego co się działo, zasmucili się bardzo, i szedłszy oznajmili panu swemu wszystko co się stało. Tedy wezwawszy go pan jego rzekł mu: Sługo złośliwy wszystko dług odpuściłem ci żeś mię prosił. Czyli tedy i ty nie miałeś się zmiłować nad towarzyszem twoim, jakom się ja zmiłowałem nad tobą? I rozgniewawszy się pan jego, podał go katom, ażeby zapłacił wszystek dług. Tak i Ojciec Mój niebieski uczyni wam, jeśli nie odpuscicie każdy bratu swemu z serce waszych.

Nauka z ewangelji.

Kim jest król, a kim jest sługa?

Królem jest Pan Bóg, a sługą człowiek.

Co oznacza dziesięć tysięcy talentów?

Dziesięć tysięcy talentów, które oznaczają ciężkie, albo śmiertelne grzechy których wina jest tak wielką i ciężką, iż nagrodzić ich, tj. za doścućzynić nie jest zdolne żadne stworzenie; winy tej nie mogą ich zrównoważyć nawet wszystkie dobre uczynki Świętych pańskich, gdyż każ-

każdy grzech śmiertelny obraża nieskończenie wielkiego, dobrego i świętego Boga, a tej obrazy nie może żadną miarą zadoścućzynić stworzenie tak samo, jak nie może biedny sługa zapłacić długą wynoszącego 10 tysięcy talentów. Mimo to Bóg jest tak litościwy i miłosierny, iż ze względu na zasługi Jezusa Chrystusa odpuszcza laskawie grzesznikowi tę całą nieskończoną winę, jeżeli Go tylko prosi zskruszonym sercem o przebaczenie i szczerze pragnie się poprawić.

Dlaczego rozkazał Pan nie tylko dłużnika, ale i żonę i dzieci jego zaprzedać?

Ponieważ w starożytnym świecie odbierano dłużnikowi, niemogące spłacić mu obcej należności, nie tylko cały jego majątek, ale nadto sprzedawano go i całą rodzinę jego jako niewolników, ażeby ceną sprzedaży pokryć wierzytelność swoją. W duchowym znaczeniu można to tak tłumaczyć, że nie tylko ci bywają karani, co grzeszyli, ale także i ci, którzy biorą udział w grzechu bliźnich.

Co rozumieć należy przez sto groszy?

Przez sto groszy, rozumieć należy obrazę, którą nam inni wyrządzają, a która w porównaniu do grzechów, jakich się dopuszczamy względem Boga, mało co znaczy.

Co chce więc Jezus Chrystus powiedzieć przez to podobieństwo?

Chce nam powiedzieć, że kiedy Bóg jest tak miłosierny i odpuszcza nam tak niezmiernie wielki dług, i my powinniśmy być miłośni i chętnie przebaczać drobne urazy przez bliźnich nam wyrządzone. Kto tego nie czyni, temu i Bóg nie przebaczy, a nawet sprawdza się nad nim słowa Apostoła Jakóba (Jak. 2, 13): „Sad bez miłosierdzia temu, który miłosierdzia nie czynił.“ Nakazana tu jest miłość dla nieprzyjaciół, jak to Jezus Chrystus wyraźnie wskazuje, że Bóg nas miłuje, tak i my winniśmy miłować nieprzyjaciół naszych. Święty Chryzostom podaje dziesięć stopni tej miłości. Pierwszy stopień miłości dla nieprzyjaciół jest ten, ażebyśmy pierwsi nie rozoouczyniali nieprzyjaźni; drugim stopniem, ażebyśmy, jeżeli przeciw nam nieprzyjaźnie wystąpiono, nieprzyjaźni tej w ten sam spo-

sób nie prowadzili dalej; trzeci, ażebyśmy wet za wet nie oddawali, ale ustępowali; ażebyśmy znosili krzywdy nam wyrządzone; piąty, ażebyśmy się surowszej poddali rzeczy, aniżeli żąda krzywdziciel nasz; szósty, ażebyśmy nie nienawidzili tego, który nas obraził; siódmy, ażebyśmy miłowali tych, którzy nas obrazili; ósmy, ażebyśmy im dobrodziejstwa wyświadczali; dziewiąty wreszcie sposób jest ten, ażebyśmy nawet do Boga modlili się za naszych nieprzyjaciół.

Któż są ci, co swych dłużników cisną?

Są to ci, którzy swym nieprzyjaciółom i krzywdzicielom nie tylko nie przebaczą, ale nawet szkodzą im z zemsty.

Któż są ci, co ezłowieka twardego serca u Boga oskarżają?

Są to święci Aniołowie-Stróże i własne sumienie, sam uczynek niemilosierny woła o pomstę do nieba.

Co znaczy z serca przebaczać?

Znaczy: wygnąć z serca swego nienawiść, gniew i zemstę, natomiast nie tylko żywić w sercu prawdziwą i szczerą miłość dla obrazicieli i nieprzyjaciół, ale nawet okazywać ją zewnętrznymi znakami i usługami przyjaznymi. Dlatego nie odpuścili z całego serca ci, co sądzą i mówią że nie gniewają się na nieprzyjaciół swych, ale unikają ich, nie pozdrawiają, nie dziękują, nie modlą się za nich, nie rozmawiają i nie przychodzą im w biedzie w pomoc, chociażby mogli, przeciwnie, cieszą się z ich nieszczęścia.

W. GOMULICKI.

Dzwony w miasteczku.

A te dzwony! te dzwony!
Gdy zagrzmią wśród błękitu,
Po ziemi i po murach
Idą dreszcze zachwytu.

Aż do najdalszych kresów,
Aż po chatki rybacze,
Miasteczko drży i dźwięczy,
I modli się i płacze.

Gdy ich serca przed sumą
Rozkotysze niedziela,
Przysiągłbyś, że to w chmurach
Anielska gra kapela.

Pod wieczór już smutniejsze,
Ciszej na nieszpór dzwonią,
Jak gdyby odurzone
Kadzidel mocnych wonia...

Gdy kto z mieszczan do Boga
Z ziemskiej wraca tulaczki
Dzwony nad jego trumną
Rozpaczają jak płaczki...

Niekiedy sygnaturka
Jak przelęka ptaszyna,
Głosem drżącym, zdyszany,
Jęczeć w górze poczyna.

Kto w mieście ją usłyszy
Zamyśla się i lęka!
Kogo doleci w domu,
Przed Obrazami kłeka.

Wie każdy że to gasną,
Czyjegoś życia zorze.
Ze ktoś w cichem miasteczku
Kona — skonać nie może.

Inny jest jeszcze śpiewak
Rozgłośny, chociaż mały,
Co, oprócz letnich skwarów,
Swiergoce przez rok cały,
Co rano w mgłach jesieni
I wśród zimowych mroków,
Do szkoły, do nauki
Wola dziatwę z obłoków.
Miasteczko sypia twardo,
Odmówiwszy pacierze,
Bo wie, że święty Florjan,
Od przygody je strzeże.
Jednak czasem w noc późną
Zrywa się w nagłym lęku —
Łuna bije od okien,
Powietrze pełne jęku.
Dzwon wielkim głosem płacze,
Płacząc, jak człowiek gada;
W ciszy słychać wyraźnie;
„Wstańcie! Biada! Biada!”
Ale najboleściwiej
Brzmi muzyka wieżowa,
Gdy się za dachów szaniec
Słońce gasnące chowa.
W tej porze uciszenia,
Gdy głosy ludzkie drzemią
Dzwon modlić się poczyna,
Za tych, co śpią pod ziemią,
A razem z dzwonem ludzie
I drzewa i kamienie,
I miasto szepce ciele:
„Wieczne im odpocznienie“.

ROZMAITOSCI

Najstarsze koleje na świecie.

Koleje wywodzą swój początek z kopalni alzackich. Już bowiem w roku 1541 budowano tam szyny drewniane, po których chodziły małe wózki. W roku 1738 zrobiono w Anglii pierwsze próby z szynami z żelaza lanego, a w roku 1776 zaopatrzono je w wyłobienia.

Od r. 1828 zaczęto używać szyn z żelaza walcowanego. Pierwsze próby stworzenia lokomotywy robił już w roku 1804 R. Trevethick. 25 lipca 1814 r. oddał Stephenson — ojciec komunikacji kolejowej, swoją pierwszą lokomotywę do użytku publicznego. 27 września pociągnęła ta lokomotywa pierwszy pociąg między miejscowościami Stockton i Darlington.

Na kontynencie ruszyły pociągi dopiero w trzy lata później, a to najpierw pomiędzy Budweis i Manthansen, potem do St. Etienne. W grudniu 1829 uzyskała Ameryka pierwszą linię kolejową do Baltimore.

Pierwszą linię kolejową we właściwym tego słowa znaczeniu stworzono dla użytku publicznego w Anglii we wrześniu 1830 roku między Liverpool a Manchester. W roku 1835 otrzymali linię kolejową Niemcy między Norymbergą a Fürth, 1837 Francja, 1838 Austria i Prusy, w kwietniu 1837 r. Rosja, w październiku 1848 r. Włochy, w roku 1844 Danja, 1847 Szwajcaria, 1848 Hiszpanja, 1850 Kanada i Meksyk, 1851 Szwecja, 1853 Indie Wschodnie i Norwegia, 1854 Portugalia, Brazylja, i Australja, w 1856 Egipt, 1860 Turcja, 1869 Grecja i Rumunja, 1872 Japonja, 1876 Chiny.

Szkielet na Łesznie.

Powieść

przez

18) **Walerego Przyborowskiego.**

(Ciąg dalszy).

Zbierając się, nie przestał rzucać okiem na ogród dworku. Ale nic tam takiego się nie działo, coby mogło w nim niepokój wzbudzić. Kolczaste galki na rogach dachu wysokiego, w duże kondyknacje zbudowanego i nadającego dworkowi wygląd monumentalny, gorzały oślepiającym blaskiem od słońca.

Dzień był gorący, czerwony i niebo po burzy nocnej czyste jak lza. Z drzew, którym się teraz bacznie począł przyglądać, tak go wszystko, co dotyczyło dworku interesowało, z ogromnych starych lip i grabów biegła odświeżająca woń i szmer lekki, melancholijny, liści. Lipy, które począły kwitnąć, otoczone były gromadą brzęczących pszczół i trzmieli z żółtymi lub czerwonymi przepaskami na tułowia. Z pośrodku wielkich cieniów, jakie na murawę i ścieżki rzucały drzewa, tu i owdzie wyglądała biała, kamienna, naga postać jakiego bóżka lub bogini, na pół zielonym mchem pokryta, zielskiem obrosła, otluczona haniebnie.

— Mój Boże — mówił sobie doktor — ta piękna Marja Czaplicówna, bo zapewne była piękna, przechadzała się tutaj, po tych alejach, nie spodziewając się, że tak prędko przyjdzie jej życie zakończyć. I zaprawdę dziwne są koleje przy-padku. Jakiegoż trzeba było istotnie szczególnego zbiegu okoliczności, żebym ja, jak się zdaje jedyny krewny zamordowanej, natrafił na ślad zbrodni, do konanej przed dwudziestu pięciu laty. Dzieją się czasami na świecie rzeczy, o których się filozofom nie śniło, jak powiada Szekspir.

Doktor ubrał się, wziął pudełko z dokumentami i wyszedł na ulicę.

IX.

W ogrodzie saskim doktor z łatwością znalazł Tomaszewskiego. Był to staruszek zgarbiony, suchy, zawiedły, ubrany w wysoki kapelusz, zwany cylindrem, w rękawiczki białe wełniane, wielki atlasowy halsztuk na szyi, który mu podpierał brodę i w czarny staroświecki surdut. Twarz pomarszczona, była starannie wygolona, oprócz cienkiego paska włosów siwych zupełnie, ciągnących się od jednego ucha pod brodą do drugiego. Gdy się doń doktor zbliżył, wlepił w niego małe siwe i dość przenikliwe oczy i siedział tak z bułką w ręce otoczony gromadą wróbli, świergocącą na drzewach, zlatującą na ścieżkę, by znów za chwilę się wzbic między liście wspaniałych, odwiecznych kasztanów.

— A! a! a! jak się masz Władku? — rzekł staruszek — dawno cię nie widziałem. Zapominasz o starym krewniaku. Czy masz do mnie jaki interes?

— Właściwie mówiąc, to tak — rzekł młody człowiek siadając na ławce przy staruszkę.

— Widzisz... widzisz... bez interesu.. hm! tego... ten.. był byś do mnie nie zaszedł... patrz! jakiego

pocziwe ptactwo. Ja ich tu wszystkich znam, no, cóż?... pieniędzy może chcesz?

Podniósł spłowiałe oczy, namarszczył skórę na czole i patrzył na swego krewniaka, uśmiechając się dobrotliwie.

— Nie dziadusiu — tak doktor nazywał Tomaszewskiego — pieniędzy nie potrzebuję. Zarabiam niewiele, to prawda, ale to, co zarabiam wystarcza mi na moje skromne potrzeby.

— Hm! tego... ten pięknie to, ani słowa. Ale cóż chcesz? cóż tam masz za interes?

— Najprzód chciałem cię dziaduniu prosić, żebyś raczył przechować u siebie to pudełko.

Tomaszewski spojrział na pudełko dodejrzliwie i nie biorąc go do rąk, spytał:

... A! a! a! coż to tam jest w tem... tego, ten... pudełku?

— Nic.. trochę papierów, parę rzadkich mineralów. Będę się niedługo przeprowadzał, nie chciałbym, żeby mi to zginęło, więc postanowiłem prosić cię dziadusiu o przechowanie.

Tomaszewski obejrzał się podejrzliwie dokoła, przysunął się do doktora i spytał szeptem:

— A nic w tem niema... wiesz tego ... ten... bo to teraz czasy takie, a ja stary... chcę mieć spokój!

— Ale bądź przekonany dziadusiu, że nie ma tam nic takiego.

Staruszek westchnął, podejrzliwie obrzucił wzrokiem pudełko i biorąc je w rękę, rzekł:

— Ano, kiedy powiadasz tak... to ci schowam, cóż mi tam szkodzi, niech sobie stoi.

Wziął pudełko, potrząsał niem i wpuścił w wielką, głęboką kieszeń swego surduta.

— No... a teraz... gadajże mi co o sobie Władku. Cóż tam słyhać u ciebie? dużo tam masz pacjentów, he?

— Nie wiele! zawołał doktor, śmiejąc się — ale ja mam jeszcze jeden interes do ciebie dziadusiu.

— A! a! a! czy znowu co schować? bo to miłość...

— Nie! nie! chciałem tylko zasięgnąć pewnych informacji.

— Informacyj? a o czymże?

— O mojej rodzinie.

Staruszek przysunął się jeszcze bliżej do doktora i widocznie tak go to zdziwiło, że upuścił większą połowę bułki, którą trzymał w ręku, a na którą rzuciła się z głośnym wrzaskliwym świergotem gromada wróbli i ciężko poczęła pracować nad jej rozerwaniem.

— O twojej rodzinie? — powtórzył staruszek — proszę ja ciebie, mój Władku, cóż to takiego... tego ten.. chcesz?

— Kilka d obnych wiadomości mi potrzeba. Wszak moja matka była Czaplicówna z domu?

— Ano... cóżby, tak...

— I miała siostrę?

A! a! a! siostrę? ano... miała siostrę.

— Rodzoną?

— Rodzoną.

— Marja jej było na imię?

Staruszek w czasie tych pytań nie spuszczał wzroku z interlokutora i rzekł:

— Tak... Marjanna.. Marjanna. Dawniej to tak nazywali, teraz grzesznie zowią Marją. Ha cóż?... nowe czasy, nowe obyczaje.

Spuścił głowę, oparł się oburącz na lasce i wpatrzył we wróble gwałtownie szarpiące bułkę.
— I coż się stało z tą siostrą, a moją ciotką? czy poszła zamaż?

— Za mąż?.. ej! mój Władku, po co ci te wiadomości? po co stare, zamarłe od dawna historie poruszać?

— Mój dziadusiu — rzeknie na to doktor — nie pytałbym się wcale o to, gdyby bardzo a bardzo ważne przyczyny nie zmuszały mnie do tego.

Staruszek spojrział na mówiącego i spytał:

— Poważne przyczyny, mówisz? a coż to za przyczyny?

— Wierzaj mi dziadusiu, że tak jest. Powoli wyjaśnię ci to, racz tylko odpowiadać na moje pytania.

— A! a! a! dobrze!.. o coż ci tedy idzie?

— Co się stało z ciotką Marją? czy poszła za mąż?

— Za mąż? aha!.. za mąż! Oto mój Władku powiem ci poprostu, że ta twoja ciotka zblaźniła się. Ladaco było wielkie, choć piękna była kobieta, ani słowa... piękna. One wszystkie Czaplicówny, hm! tego ten.. były piękne. I twoja matka była też piękna, ale osobliwie Marjanna.

— Blondynka była.

— A tak, tak... jasne jak złoto miała włosy, śliczne włosy.

— Coż się więc z nią stało?

— Ano, coż się stało? Rodzice ich nie żyli, twoja matka była już za mężem, za twoim ojcem, więc Marjanna przy jakiejś tam ciotce mieszkała w Wilnie. Przyjechał tam, tego... ten... do Wilna, jakiś śpiewak, czy skrzypek, kat go tam wie, co on był, Włoch czy Niemiec, no! i zawrócił głowę dziewczynie... bo to ona była muzyczka... tego, ten... pięknie grała, ani słowa unich tam wszystkie śpiewaki, muzyki, aktory, literaty... tego ten... różne takie tałajstwo się zbierało. więc i ten Włoch także. No, jednym słowem zawrócił głowę Marjannie i... uciekla z nim.

— Uciekla? a nie wiadomo dokąd?

— Kat ich tam wie. Włóczyli się tam po Niemczech i w końcu gdzieś przepadli.

I nie było żadnej o niej wiadomości?

— A nie było... może i była jaka, ale ją nie wiem. To tam tylko twoja matka.. tego ten... mogła mieć wiadomość, ale widzisz ukrywała ją, bo twój ojciec surowo zabronił nawet wspominać w domu imienia Marjanny... co, że tak powiem, godne jest pochwały.

— A jakże się ten uwodziciel nazywał?

— Uwodziciel? kat go tam wie... niemieckie jakieś nazwisko... gadali mi tam. ałem zapomniał.

— Nie Heliglas czasem?

— Jak?

— He-li-glas! — wycedził doktor, kładąc nacisk na każdą syiabę.

— A może.. nie pamiętam. Ale to tam.. tego ten... sławny był podobno muzyk, po gazetach o nim pisali.

— Pisali o nim w gazetach?

— A jakże, pisali...

— To będzie można zobaczyć, trzeba tylko wiedzieć, w którym roku był w Wilnie i ciotkę porwał.

(Ciąg dalszy nastąpi).



Wesoły kącik.



Państwo Paskarscy, wybrawszy się na dłuższą przejażdżkę za granicę, zabrali też ze sobą służącą Marysię, która dzięki temu, objechała z pół Europy.

— No — pyta Marysi gość państwa Paskarskich, po ich powrocie — jakie ci się miasto najbardziej podobało?

— A Wenecja, proszę pana — brzmi odpowiedź.

— Brawo Marysiu! A z czego ci się Wenecja najbardziej podobała?

— Z tego proszę pana, że tam prosto z okna można na ulicę kubel wylewać.

* * *

Przy zielonym stoliku siedzi kilku panów, zajętych grą w wista.

Do pana Piotra, któremu karta fatalnie idzie, podchodzi pan Jani z natręctwem profana przeszkadza mu rozmową.

Pan Jan. — Nieszczęśliwie ma pan karty.

Pan Piotr. — (zniecierpliwiony) — No, tak!

Pan Jan. — Trzeba mieć prawdziwy pech.

Pan Piotr. — (jeszcze bardziej zniecierpliwiony) — No, tak!

Pan Jan. — Słyszałem, że się pan ożeni?

Pan Piotr. — (z pasją) — Zenię się!

Pan Jan. — Czy mogę wiedzieć z kim?

Pan Piotr. — (z furją) z fujarą mój panie!

Pan Jan. — Chyba z indultem?

Pan Piotr. — Dlaczego?

Pan Jan. — Bo to za bliskie pokrewieństwo.

* * *

Na terytorjum gminy stara Wola spełniono śmiałą kradzież. Wójt, Mateusz Okowita, z pisarzem Pociągalskim, zbierają się do spisania protokołu. Pisarz rozpoczyna:

— „Na miejscu przestępstwa znaleziono butelkę...”

— Czekaj pan! — przerywa wójt — trzeba spisać, co w butelce. To może być ważne dla śledztwa.

— Koniak! — odpowiada pisarz, pociągnawszy spory łyk z butelki.

— Nie, przepalanka! — oponuje wójt, lyknawszy kilka haustów.

— A ja mówię, że koniak! — odpowiada pisarz, próbując dość długo.

Butelka została opróżniona szybko.

— Pisz pan — decyduje wójt, — że „znaleziono butelkę pustą i pomimo wszelkich z naszej strony starań, nie można było dojść, co zawierała.”

* * *

— Panie doktorze! Znadto cierpię! Niech pan sprawi, żebym umarł copędzej!

— Nie potrzebuje wskazówek. Znam swoje rzemiosło.

Ostrożny.

Sędzia:

— Czy pan jesteś pewny, że dałeś sygnał, zanim przejechałeś tego człowieka?

Obwiniony (automobilista):

— Jak najpewniejszy, panie sędzio! Ja zawsze daję sygnał, zanim kogo przejadę.